

KINGA WYSKIEL

Do szpiku
kości



Prolog

MAREK

Styczeń

Czytałem ostatnio jakąś opinię na temat moich obrazów. Do tej pory nie przywiązywałem zbyt wielkiej wagi do tych słów. Myślałem: „Krytykom płacą za pisanie tego szajsu, tak jak mi płacą za obrazy”. Cały czas nie rozumiem, co mnie podkuśliło, by to zmienić.

Czemu, do cholery, w ogóle postanowiłem coś zmieniać?!

Niejaki R. Kamiński na portalu, którego nazwa brzmiała mniej więcej jak „sztuka-kto-dba-o-to-co-dalej.jestemidiota.pl”, wystawił mi następującą ocenę:

Prace młodego pana Tempicha zachwycają pomniejszych fascynatów malarstwa. Wielu rozwódzi się nad jego umiejętnościami władania pędzlem oraz barwami, podczas gdy w rzeczywistości są one jedynie dowodem niedojrzałości twórcy. Strach przed żywymi kolorami i indywidualizmem potwierdzają, iż pan Tempich to tak naprawdę dziecko bawiące się w artystę.

Co proszę?! Co to, do cholery, miało być? Że niby boję się czego?! Namalowania na środku płótna czerwonego koła?

A w ogóle to po co to czytałem?

Nie wiem. I im więcej czasu mija, tym bardziej nie mogę zrozumieć samego siebie.

Rzadko spotykam się z krytyką, ale jest ona wpisana w to, co robię, więc nauczyłem się przyjmować ją na klatę. Zdecydowanie nie unoszę się pieprzoną dumą!

A jednak kiedy po przeczytaniu tego szajsu pojechałem na wystawę, jedyne, o czym mogłem myśleć, to właśnie słowa tego idioty, R.

Moja matka próbowała ściągnąć mnie na ziemię, więc przedstawiała mi jakiegoś Holendra. Przyjaciela wujka? Chyba tyle udało mi się zrozumieć z ich paplaniny w tym chorym języku. Przysięgam, brzmiało to tak, jakby matka cały czas klęła, co jest tym ciekawsze, że ona nigdy tego nie robi. Spoglądałem na nich, a później patrzyłem ponad ich głowami na ludzi dookoła. Było ich tak wielu. A ja oczywiście nie znałem większości z nich. Gdzieś z boku zauważyłem fotografa, gdzieś indziej krytyka, z boku reporterkę w zdecydowanie zbyt krzykliwej sukience.

Ręce mnie świerbiły, żeby zrobić coś, by mnie zauważyli. Naprawdę zauważyli. Mnie. Tego, który namalował to wszystko. Tego, który najchętniej spuściłby im cholerny żyrandol na głowy i patrzył, jak roztrzaskuje się na drobne szklane kawałki. Ale po co?

– Marek? – Głos matki dotarł do mnie jakby z całkiem innego miejsca, jakby dzieliła nas ściana.

Uniosłem na nią wzrok. Jej oczy były takie same jak moje. Gdyby się nad tym głębiej zastanowić, była to chyba jedyna rzecz, która różniła mnie od ojca. Te zielone tęczówki, które są jego zdaniem „jak holenderskie pola”. Tyle że nie mam pojęcia, jak te pola wyglądają. Czy rzeczywiście są takie zielone, czy może ojciec mówi tak, bo lubi się bawić w romantyka?

– Co o tym myślisz? – spytała matka, jakby miała nadzieję, że tak naprawdę ich słuchałem. Że usłyszałem, o co mnie pytała.

Niestety. Wzruszyłem ramionami.

– Idę się napić – odpowiedziałem tylko. To był mój kolejny błąd tamtego feralnego dnia.

Nie przeszło mi nawet przez myśl, żeby spojrzeć na nią jeszcze raz. Nawet kiedy słyszałem, jak cicho powtarza moje imię. Dałbym sobie rękę uciąć, że kręciła przy tym głową tak mocno, jakby się modliła, by jej od tego odpadła.

Usunąłem się z ich pola widzenia i zacząłem szukać kelnera albo chociaż kieliszka z szampanem. Jeśli chciałem przetrwać kolejne kilka godzin, potrzebowałem jakiegokolwiek trunku.

I wtedy mnie olśniło.

Tytułu czytać nie musiałem. Doskonale pamiętałem wszystkie te kiczowate nazwy, które ojciec usilnie im nadawał. Zupełnie jakby był to jeden z jego statków, a nie kawałek pochlastanego farbą płótna.

Ciemna sylwetka nie do rozpoznania. Zgarbione ramiona, pochylona głowa, mocno naciągnięty na twarz kapelusz i ta lekko uniesiona ręka. Wszystko było szare lub niebieskie, gdzieś niedzie widniały plamy kanarkowej żółci wymieszanej z bielą, tak że wyglądało to bardziej jak kanarkowa biel.

Czy na tym obrazie było coś wyjątkowego? Nie. Tylko facet, piach, woda i chmury. To wszystko, co namalowałem, a ludzie i tak najchętniej zabraliby płótno ze sobą do domu i powiesili je nad łóżkiem w sypialni. Kiedy o tym pomyślę, nawet teraz robi mi się niedobrze.

Obraz jest mdły. Przygnębiający. Moja pieprzona technika to dno. Moje dzieło przypomina raczej wymiociny na podłodze w kiblu nocnego klubu, w którym byłem dwa dni temu.

A może nawet one wyglądałyby lepiej. Kolory byłyby ciekawsze. I byłyby w tym jakaś chora ekstrawagancja, na którą mnie nie stać i wiem, że nigdy nie będzie. Bo tak naprawdę wcale nie jestem dobry, mam po prostu wokół siebie ludzi, którzy chcą tak myśleć. Ludzi, dla których mój talent ma znaczenie, nawet jeśli jest wierutnym kłamstwem.

Kiedy świat wokół mnie się zakołysał, usłyszałem czyjeś wołanie i krzyk matki. Tylko raz w życiu zdarzyło się, by tak

krzyczała i, Boże, chciałbym wymazać tamten dzień ze swojej pamięci – zapewne tak samo jak ona.

Poczułem zderzenie z zimną podłogą, a potem była już tylko ciemność. Ostatnie, co pomyślałem, to „wreszcie”.

A później zaczęło się nowe piekło mojego życia.

Lipiec

Od tamtego dnia minęło sześć miesięcy. Wciąż mam dziewiętnaście lat, jestem synem tych samych ludzi. Nawet palce mam tak samo brudne od malowania. Życie wciąż jest mi obojętne. Wszystko jest tak jak wcześniej, po staremu. Oprócz tego, że teraz mam nowy powód, by tak sądzić.

Szpitalna pościel jest szorstka, tak samo jak ubranie. O uchylone okno odbijają się krople deszczu wielkości przepiórczych jaj. I co z tego? Nic. Niebo jest tak sine jak powieki mojej matki. Siedzi w głębokim fotelu w rogu sali i śpi tak lekkim snem, że gdybym tylko poruszył się gwałtowniej, głośniejsze zaszeleścił kartką papieru, ona już byłaby przy mnie i pytała, czy wszystko w porządku, czy czegoś mi nie potrzeba.

Nienawidzę tego. Nienawidzę. Nienawidzę.

Bardziej niż czegokolwiek na świecie nienawidzę tych sińców pod jej oczami. Znam je dobrze. Wiem również, że nie ma w nich nic prawdziwego.

Wiatr jest coraz gwałtowniejszy, a ja przez chwilę zastanawiam się, jak musi wyglądać teraz morze. W jaki sposób wzburzone fale zmywają z piasku na plaży wszystkie dowody ludzkiej obecności z ostatnich kilku dni. Jak białe, spienione grzbiety rozbijają się o co wyższe klify. Jak...

Moja ręka sunie wolno po kawałku papieru. Wszystko, co widzę oczami wyobraźni, staje teraz przede mną jak żywe za sprawą kawałka węgla. Tyle że to, co tworzę, jest martwe. Martwe w środku – jak ja. Umierające na zewnątrz – jak ja.

Szpitalna aparatura pyka w tak irytujący sposób, że najchętniej odczepiłbym się od niej i poszedł najdalej, jak tylko zdołam. Ale po całej tej dawce leków uspokajających i przeciwbólowych pewnie skończyłoby się na tym, że doczłapałbym za ledwie do drzwi na końcu korytarza, i to z pomocą tej starej pielęgniarki z błędnym wzrokiem.

Może właśnie dlatego tego nie robię. Już i tak czuję się jak cień człowieka. Jak wrak. Jak moje własne obrazy.

Odkładam węgiel, odkładam rysunek.

Mam ochotę cisnąć nim przez okno. Patrzeć, jak deszcz zmienia go w coś o wiele lepszego, rozmaczając papier. I mógłbym to zrobić. Ostatecznie jedynie mnę go i rzucam prosto do kosza przy drzwiach. W tym samym momencie, kiedy do niego trafia, matka otwiera oczy i rozgląda się zasnany wzrokiem po sali, a szklane rozsuwane drzwi otwierają się najciszej, jak to tylko możliwe.

– Która godzina? – pyta mnie matka, tak jakby właśnie spadł gdzieś meteor, a ona to przespała.

– Wpół do piątej – odpowiadam.

Kieruję wzrok na Eryka. Mój brat jest cały mokry. Krople kapią z jego włosów i skórzanej kurtki na podłogę, kiedy opiera się o drzwi.

Nikt, kto by nas zobaczył, nie powiedziałby, że jesteśmy spokrewnieni. Podczas gdy ja mam skórę opaloną niemal przez cały rok, on pozostaje blady i odporny na największe letnie upały. Moje palce są długie i smukłe, stworzone do trzymania pędzla, jego – zgrubiałe, przyczepione do szerokich dłoni w dziwny sposób, który nawet nie wiem dlaczego wydaje mi się dziwny. Ja mam ciemne włosy ojca, on rude po matce.

Zwiesza głowę, jak mężczyzna na tamtym cholernym obrazie, który nigdy nie wyjdzie mi z głowy, chociaż jest tylko jednym z wielu przeze mnie namalowanych.

– Wszystko okej? – pytam, chociaż wiem, że to debilne z mojej strony.

Nie odpowiada.

– Ojciec poszedł porozmawiać z lekarzem. Może dowie się czegoś nowego – zwraca się do matki, zupełnie mnie ignorując.

Nie mam o to pretensji, a przynajmniej tak sobie wmawiam. Nie mogę go przecież o nic oskarżać. Nie mogę winić nikogo za to, że radzą sobie z tym wszystkim na swój sposób, ale słowo daję, kiedy Eryk po raz kolejny ucieka ode mnie wzrokiem, mam ochotę rzucić w niego workiem z kroplówką. Mam ochotę wrzasnąć głośniej, niż wydaje mi się, że to w ogóle możliwe, i zmusić brata, by na mnie spojrzał. Bo wiem, że ma wyrzuty sumienia, wiem, że się obwinia, ale przecież to ja jestem winny. To JA jestem powodem, sprawcą tego wszystkiego. A Eryk nie może nic na to poradzić... i właśnie przez to nie może na mnie spojrzeć.

Wypuszczam powietrze i opadam na poduszki, a potem przykładam dłonie do twarzy.

– Nie sędzę, by od dwóch godzin zbyt wiele się zmieniło w tej kwestii – mówię takim tonem, jakby chodziło o brak mydła w łazience czy skończenie się papieru toaletowego. Jedyne sposoby, jakie znam, na radzenie sobie z rzeczywistością, to ignorowanie tego, co wybija człowieka z rutyny. Obojętność. Chłodna obojętność.

A jednak. Eryk prycha krótkim, urywanym śmiechem. Zaciśka mocno dłonie.

– Mógłbyś już sobie darować, dzieciaku.

– Może i bym mógł, ale nie chcę – rzucam w odpowiedzi.

– Ojciec przyjdzie, jak tylko się czegoś dowie.

– O ile się czegoś dowie – poprawiam go ciągle tym samym tonem. Wiem, że stąпам po cienkim lodzie, ale od dawna nie miałem do czynienia z żywą, ludzką reakcją i pragnę jej bardziej niż czegokolwiek. Bardziej niż kawy, której smaku już nie pamiętam. Bardziej niż słońca na mojej skórze, bardziej niż...

Eryk rzuca mi ostre spojrzenie, ale patrzy na policzek, nie w moje oczy.

– Przestań – syczy i to jest właśnie moja nadzieja.

Wzruszam ramionami.

– Nie mogę zrozumieć, o co wam chodzi. To nie wy jesteście przykuci do tego łóżka od miesięcy. To nie wy żywcie się papką i liczycie cholerne minuty od leków do leków! A ja mam przestać?

– Zachowujesz się jak pieprzony egoista.

– Nie, to wy zachowujecie się tak, jakbyście wiedzieli, przez co przechodzę!

– Dobrze wiesz, że to dotyczy nas wszystkich...

– Tak, zwłaszcza ciebie – wyrzucam mu. I to jest to, co chciałem osiągnąć. Oczywiście płoną, kiedy kieruje je prosto w moją stronę. Robi krok, potem drugi i opiera się o łóżko. Matka milczy. Palcami ściska nasadę swojego nosa. Wie, że lepiej będzie się w to nie mieszać.

Eryk jest ode mnie starszy o dwa lata, ale to nie jest możliwa do odczucia różnica wieku. Nigdy taka nie była, aż do teraz. Mój brat ma niebieskie oczy ojca.

Nie myślałem, że lodowce mogą płonąć, a jednak.

– Jesteś pieprzonym gówniarzem, Marek! Wiesz o tym? Myślisz, że nie wiemy, co się dzieje? Myślisz, że żadne z nas nie wolałoby zwlec cię z tego łóżka i samemu się na nim położyć? Zrobiłbym to, doskonale o tym wiesz. Zrobiłbym to z wielką przyjemnością, ale nie mogę. Tak samo jak nie mogę być pieprzonym...

– Eryk! – ucina matka.

To nawet nie jest krzyk. Ona nie musi krzyczeć. Wystarczy jej niemal zagłuszany deszczem szept, a mój brat milknie. Mięśnie na jego twarzy się napinają. Eryk doskonale wie, że go prowokuję. Wie, że nie myślę tego, co mówię, a robię to wszystko specjalnie i chyba powinno mieć to jakieś znaczenie. Ale w tej chwili wszystko jest go pozbawione.

– Daruj sobie – rzuca do mnie na wydechu brat. Wygląda jak cień. Wygląda jak mama i ojciec. Oni wszyscy wyglądają, jakby umierali. – To na nic.

– Co?

– Dobrze wiesz.

Wiem. Dlatego nic już nie mówię. Oni stoją. Ja leżę. Oni chodzą. Ja patrzę. Patrzę. Patrzę i patrzę w niebo.

I myślę.

Styczeń

Nie wiem dlaczego, ale tamtego dnia, kiedy się obudziłem i wszystko wokół mnie było tak chorobliwie białe, od razu zrozumiałem, że jestem w szpitalu. Wiedziałem już, że stało się coś okropnego, chociaż nikogo jeszcze o to nie zapytałem.

Po prostu wiedziałem.

– Jak się czujesz? – dotarł do mnie głos mamy. Z wielkim trudem obróciłem głowę, by na nią spojrzeć. Miała ślady zaschniętych łez na policzkach, a jej dłoń, która kurczliwie ścisnęła moją, była zimna i blada. Stara. Moja matka była stara.

– N-nie wiem – odpowiedziałem, chociaż to nie była prawda.

Czułem się źle. Czułem się zupełnie do niczego, jakbym nie miał prawa się obudzić.

Ojciec stał wtedy przy drzwiach, tak jak dziś Eryk. Kiedy tylko na niego spojrzałem, miałem ochotę pokazać mu, że wcale nie jestem słaby, że mogę wstać. Mogę wciąż być jego synem, nawet jeśli ledwo mogłem unieść palec, by podłubać w nosie.

– Chyba dobrze – powiedziałem po dłuższej chwili do mamy.

– Lekarz niedługo przyjdzie – poinformowała mnie w odpowiedzi.

Lekarz. Szpital. Biel. I ta aparatura, która będzie pikać tak samo przez kolejne sześć miesięcy i oby nie dłużej.

– Mogę wody? – spytałem, wciąż patrząc na ojca.

Ryszard Tempich to biznesmen. Cholerny biznesmen, który od ilości pieniędzy na koncie ma więcej jedynie butelek drogiego wina w spiżarni. Cholerny biznesmen, którego nic nie rusza i od którego właśnie nauczyłem się całej tej obojętności.

Miałem szesnaście lat, kiedy wreszcie do mnie dotarło, że ojciec oczekuje ode mnie i od Eryka, byśmy przypominali go w każdym calu. Miałem szesnaście lat, kiedy okazało się, że jeśli nie będę jak ojciec, nie zniosę życia. I może właśnie to jest najgorsze – nawet teraz, mimo tego, jak się zmieniłem, nigdy nie usłyszałem od niego, że jest ze mnie dumny. Że mnie kocha, przestał mówić, gdy miałem sześć lat. W wieku ośmiu skończyły się wszelkie czułości. A teraz? Wydaje mi się, że jestem dla ojca obcym człowiekiem, a on cały czas pozostaje dla mnie niedoścignionym wzorem, który powinienem naśladować. Ale nie zamierzam.

Jakiś czas później drzwi się otworzyły i wszedł doktor. Siwe skronie i biały kitel powinny oznaczać kompetencje, doświadczenie, powinny... A dla mnie ten człowiek wyglądał jak duch.

Tamtego dnia również padało. Był styczeń. Deszcz mieszał się ze śniegiem. Wbiłem wzrok w widok za oknem i pamiętam tylko urywki rozmowy, które do mnie docierały.

– ...będzie konieczny przeszczep szpiku. Miałem szczerą nadzieję, że może... – *Ty miałeś? A czy to twoje życie?* – ...zwalczyć samą chemioterapią. Na pewno uda nam się zaindukować remisję, ale syn zdecydowanie należy do grupy ryzyka... – Dużo medycznej terminologii, której nasłuchiwałem się przez kolejnych kilka miesięcy. Miałem tego dość i jednocześnie wydawało mi się, jakby to wszystko działo się poza mną. Jakbym tak naprawdę wcale nie brał w tym udziału, jakby mnie tu nie było. – Poszukamy dawcy. Na początek byłoby dobrze, gdyby przebadał się państwa drugi syn oraz wy, chociaż...

Chociaż prawdopodobieństwo, że moi rodzice będą mogli być dawcami szpiku, było znikome. A jak się okazało dwa tygodnie później – mój brat również nie mógł być dawcą. Nikt z rodziny, nikt z przyjaciół.

Ostatecznie lekarz powiedział, że poda mi chemię.

– Bez niej i tak nie będziemy mogli podać ci szpiku, kiedy już znajdzie się dawca – argumentował.

W tym samym czasie ja toczyłem wewnętrzną walkę. Chemia oznacza walkę. Dawca oznacza wyzdrowienie. Ja oznaczam cierpienie, jeśli pierwsze nie zadziała, a drugie nie będzie istniało.

Chemia to walka, ale chemia też zabija.

Tak samo jak rak. Tak jak białaczka.

– Jak się dziś czujesz, kochany? – zapytała mnie któregoś dnia pielęgniarka.

Jak zawsze patrzyłem w okno. Na szafce obok łóżka leżał niedokończony obraz, tak samo okropny jak wszystkie, które do tej pory namalowałem.

– Zgaduję, że tak samo jak wczoraj.

Podłączyła nową kroplówkę. Sprawdziła to i tamto, a ja miałem ochotę prosić, żeby się stąd wynosiła. No może słowo „prosić” to przesada, ale chciałem, żeby to zrobiła. Chciałem tylko być sam.

– Masz na coś ochotę? – zagaiła znowu.

– Dzień życzeń?

– Aha.

– Chyba niczego nie potrzebuję.

Oprócz szpiku. Spojrzała na mnie. Widziałem to w szybie.

– Daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie.

Kiedy wychodziła, mruknąłem jeszcze pod nosem:

– Szczerze wątpię.

Już nawet nie miałem ochoty z tego wyjść.

Lipiec

– Wiem! – Eryk wyrzuca ręce w powietrze.

Od jakiegoś czasu ostro dyskutuje z matką. Ma czerwoną ze złości twarz i włosy posklejane od deszczu. Wygląda jak upiór.

– Nie powinienes tego robić. – Matka stara się do niego dotrzeć mimo wszystko.

Krzywy uśmiech na ustach mojego brata mówi wszystko.

– Oczywiście.

– Eryk...

– Mamo...

I cisza.

W momencie, w którym zauważają ojca, milkną momentalnie. To ciekawe, bo ja sam w tej chwili mam ochotę przekoziółkować po podłodze i rzucić się na niego. Nigdy nie wierzyłem, gdy mówiono o kimś, że postarzał się w krótkim czasie, ale tak teraz opisałbym swojego ojca. Z biznesmena wciąż w kwiecie wieku zmienił się w dziadka, na którego pogrzebie byliśmy osiem miesięcy temu, zanim wylądowaliśmy tutaj. Włosy jeszcze bardziej mu posiwiały, o ile to w ogóle możliwe, i chyba zaczął łyseć. Zmarszczki na jego czole nie są już kwestią mimiki, ale nieprzespanych nocy. Jego oczy są niemal szare w ostrym świetle szpitalnych diod, a skóra mocno naciągnięta na kości, niemal przezroczysta.

Przełykam z trudem, kiedy jedynie stoi tam i milczy.

– Ryszardzie? – Matka pierwsza zdobywa się na odwagę i przełamuje ciszę. Ojciec nie spogląda na nią mimo jej łagodnego głosu, nie robi tego, nawet kiedy przykłada dłoń do jego policzka. – Co powiedział lekarz?

Wyduś to z siebie! – mam ochotę krzyknąć. *Błagam, powiedz to wreszcie.*

Moi rodzice mimo wielu lat małżeństwa nigdy nie przestali okazywać sobie miłości. Nigdy, nawet wtedy, gdy na nasz dom spadła ciemność. Ojciec mógł ignorować swoje dzieci, ale nigdy nie robił tego żonie. Nawet teraz zdają się znajdować w sobie pocieszenie w cierpieniu.

Z fascynacją, którą czuję zawsze, i niechęcią, jaką odczuwam od niedawna, obserwuję, jak ojciec unosi dłoń mamy do ust, a potem zamyka oczy. Wygląda, jakby się modlił, a później z jego ust wystrzelają, szybko niczym z karabinu maszynowego, słowa:

– Lekarz zastanawia się nad kolejną dawką chemioterapii. Jeśli dalej tak pójdzie i nie znajdzie się dawca, możesz potrzebować

też nowej wątroby. To już kolejna seria i udało im się zainicjować remisję, ale to nie wystarcza.

Jego słowa – chociaż mówi do mnie, nie kieruje ich w ogóle w moją stronę – ranią niczym pociski i przynoszą dziwny spokój. Czuję się, jakbym umierał już w tej chwili. I to boli, ale jest niczym ratunek.

Nie chcę tylko, by to on był ostatnią rzeczą, jaką zobaczę, nim zamknę oczy.

Tak jak zapowiedział ojciec, następnego ranka pielęgniarka przynosi mi standardową porcję chemii. Dostaję też zwiększoną do maksimum dawkę leków przeciwbólowych. Już po godzinie wiem, że nie zadziałają w ogóle.

Ręce drżą mi bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Pierwszy raz mam tak wielki problem z utrzymaniem pędzla w dłoni czy z namalowaniem prostej kreski. Ciągnę to jednak dalej, chcąc ocenić efekt końcowy, pragnąc móc znaleźć ujście dla całego swojego gniewu. I chociaż wiem, że nie mogę tak prędko odczuwać żadnych efektów ubocznych działania dodatkowych leków; chociaż wiem, że w tym wszystkim nie chodzi o medycynę, ale o całą obecną sytuację, w której się znalazłem – o całe to gównno, które mam w środku – nie mogę odebrać sobie szansy, by zwalić to wszystko na leczenie.

Obraz jest okropny. Chciałem namalować jedno głupie drzewo, które rośnie na dziedzińcu za oknem, zamiast tego mam coś, co wygląda jak malunek dwulatka.

Nim zdążę zarejestrować, co w ogóle robię, rzucam pędzlami, ołówkami – wszystkim, co mam pod ręką – w ścianę. Na szklanych drzwiach rozbryzguje się farba w kolorze indygo, jedna z tych drogich, które kupiłem rok temu we Włoszech. Oddech mam przyspieszony, dłonie drżą mi bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, serce bije w szaleńczym rytmie. A wszystko wokół mnie... przypomina mi o tym, o czym najbardziej chcę zapo-

mnieć. O ostatnich cholernych sześciu miesiącach życia, które mogłyby się wreszcie skończyć.

Wciąż jeszcze nie mogę się zebrać w sobie i uspokoić, kiedy do środka wchodzi mój lekarz. Warecki – tak głosi plakietka, ale jutro znów na nią spojrzę, nie mogąc zapamiętać tego nazwiska. Po prostu nie mogę... bo nie chcę móc.

Ze spokojem, o jaki bym go nie podejrzewał, rozgląda się po sali, oceniając zniszczenia. Może liczy w myślach, na ile pieniędzy uda mu się naciągnąć mojego ojca.

Ściąga okulary, zahacza je o kieszeń swojego kitla i spogląda w moją stronę.

– Czujesz się lepiej?

– Nie. Dużo gorzej niż wczoraj i sześć miesięcy temu. Jak się nad tym zastanowić, to chyba w życiu nie czułem się bardziej parszywie.

Przekrzywia głowę, a kącik jego ust zaczyna unosić się do półuśmiechu.

– Powiem woźnej, żeby tu posprzątała.

– Oczywiście – odpowiadam, bo co innego mógłbym powiedzieć? „Przykro mi?” Ale to kłamstwo. „Posprzątam to?” Gówno prawda, bo jeszcze wczoraj nie byłem w stanie samemu ustać na nogach przez głupie dwie minuty!

Wiele można mi zarzucić. Że moje obrazy są do niczego, że ja sam jestem do niczego. To, że obrażam ludzi i uważam się za kogoś lepszego od innych albo że jestem sarkastyczny i ostry w obyciu. Ale nie jestem kłamcą. Zawsze mówię dokładnie to, co myślę, jestem szczery do bólu do tego stopnia, że ludzie boją się tego, co powiem, zanim się jeszcze odezwę.

Dlatego kiedy lekarz się uśmiecha, nie uciekam myślami, nie zaczynam wyglądać przez okno, ale patrzę na niego w taki sposób, jakbym panicznie czepiał się go jak ostatniej ludzkiej rzeczy w świecie pełnym medycznej aparatury i zombie.

– Potrzebujesz czegoś na uspokojenie? – pyta.

Kręcę głową.

– Ale przydałoby się więcej ketanolu.

Tym razem on zaprzecza.

– Dostałeś już chyba wystarczająco.

– Wciąż mnie boli.

– I będzie.

Nie pyta, co mnie boli. Już dawno wyjaśniłem mu, że boli mnie każdy kawałek mojego zrakowaciałego ciała.

– Wciąż liczymy na to, że znajdzie się dawca – mówi na koniec.

Jego słowa pulsują mi w głowie, aż w końcu zasypiam. Kiedy znów się budzę, są pierwszą rzeczą, o jakiej potrafię myśleć.

Dawca. Szpik. Białaczka. Rak. Umieranie.

Oto całe moje życie.

Patrzę w sufit, nie na Eryka. I w końcu udaje mi się podjąć decyzję. Głosem chropowatym niczym papier ścierny oznajmiam:

– Chcę wrócić do domu.

A on nie mówi nic. Tylko wychodzi i wiem, że kieruje się prosto do pokoju doktora W., by go o tym poinformować. Zrobi to, ponieważ nie może uczynić już niczego więcej; zrobi to, ponieważ nie ma nikogo, kto mógłby cokolwiek poradzić. W tej chwili chciałbym mu powiedzieć, że dziękuję. Ale ja nie używam tego słowa. I zdecydowanie nie podziękuję swojemu bratu. Nie dlatego, że nie chcę, nie dlatego, że nie potrafię, ale dlatego, że jego by to zabiło.

Matka pakuje moje rzeczy do torby. Wkładam całą siłę, jaką mam w sobie, w to, by zignorować jej siąpienie nosem i chorobliwy sposób, w jaki raz po raz ociera łzy z policzków, tak jakbym rzeczywiście mógł ich nie zauważyć. Tak jakby naprawdę były prawdziwe. Na koniec odwraca się do Eryka i podaje mu bagaż.

Ojca z nimi nie ma. Na zewnątrz czeka nie on, ale kierowca, który zabierze mnie do domu. Wielki Ryszard nie przyjedzie po syna do szpitala, nie. On zamknie się w swoim gabinecie i je-

śli wszystko pójdzie zgodnie z moimi przewidywaniami, nigdy więcej go nie zobaczę.

Cała moja popieprzona rodzinka taka jest. Złamana. Chora. Niekompatybilna w swoich częściach.

Pamiętam, jak tamtego przekłętego dnia ponad trzy lata temu usłyszałem matkę, która mówiła, że nie przeżyje, jeśli mi lub Erykowi się coś stanie. Ojciec nie powiedział wtedy nic, by ją pocieszyć, chociaż byłem niemal pewien, że to zrobi. Nie.

– Nie dasz rady uratować ich przed wszystkim – powiedział za to.

Tylko tyle.

– Gotowy? – Mama patrzy na mnie z rękami luźno opuszczonymi wzdłuż swojego ciała. Ja swoimi wykonuję jakiś niezdefiniowany gest, próbując wyrazić bezradność, złość i przyzwolenie w jednym.

Kiedy Eryk staje za mną i zwalnia hamulec, czuję się gorzej, niż przypuszczałem, że będę. Zegar wskazuje dziewiętnastą siedem, a ja nie jestem nawet w stanie opuścić szpitala na własnych nogach.

Koła wózka inwalidzkiego skrzypią na plastikowej podłodze, kiedy kierujemy się do drzwi. Do drzwi, za którymi już będę wolny. Do drzwi, za którymi zmieni się wszystko i jednocześnie nie wierzę w to, by zmieniło się cokolwiek.

I w tym momencie, właśnie w tym momencie słyszę, jak krzyczą. Jak krzyczą i krzyczą. Jak biegną i biegną.

– Pani Tempich! Panie Tempich!

Nie zatrzymuj się, nie zatrzymuj się! – błagam brata w myślach. Ale on już staje, odwraca się. Moja matka też spogląda w tył, a ja spuszczam głowę, bo nie chcę zostawać tu ani dnia dłużej, bo wiem, że jeśli tu zostanę, wszystko będzie dalej takie samo, identyczne aż do końca.

– Chodźmy... – odzywam się cicho, tak cicho, że nikt mnie nie słyszy. Nikt nie zwraca na mnie uwagi.

– O co chodzi, doktorze? – dociera do mnie głos matki.

Czuję pod opuszkami koła, więc lekko je odpycham. Nie zajeżdżam daleko, kiedy zatrzymuje mnie dźwięk tych słów:

– Mamy dawcę.

Moja pierwsza myśl to „cholera!”, ale druga jest o wiele ważniejsza, bo prawdziwsza, choć mocniej skryta: „wreszcie”.

Rozdział I

Osiemnaście miesięcy później
Styczeń 2016

EMILIA

Szybciej. Mocniej. Szybciej. Mocniej. Uderzenie. Wynurzenie. I znów w wodę. Znów głęboko. Znów bez końca. Znów bez myśli.

Woda jest zbyt zimna jak na mój gust, ale już do tego przywykłam. Przycinam basen za basenem, robię kolejne nawrotki niemal niezauważalnie. Ledwie dotknę dłońmi ściany, a już odbijam się od niej nogami i znów płynę.

Pieką mnie ramiona, pali mnie w głowie. Myśli zaczynają wracać, więc zatapiam je głębiej, wkładając w kolejne okrążenie całą swoją siłę, i ze stylu dowolnego przechodzę do kraula. Chcę się zmęczyć, chcę nie mieć siły na nic.

I pewnie mój plan zrobienia jeszcze kolejnych dziesięciu okrążeń by się powiódł, gdyby nie dłoń, którą dostrzegam pod powierzchnią wody. Znika tak samo szybko, jak się pojawiła, a ja się wynurzam.

– Łuhu! Co to było? Jakiś nowy rekord, czy po prostu ktoś cię ostro wkurzył?! – Głos Anity jest jednocześnie pełen podziwu, zatroskania i tej typowej dla niej wesołości, do której zdążyłam już przywyknąć.

Zsuwam gogle i oswobadzam się z czepka. Wciąż unosząc się na wodzie, spoglądam na nią kątem oka.

– Spójrz na stoper.

Robi, o co ją proszę, i gwizdże z uznaniem.

– Pokaż – proszę, więc podaje mi urządzenie. Mam szczęście, że jest dostatecznie rozgarnięta, by najpierw zastopować czas, a dopiero później bezczelnie mi przerwać. Chociaż przyznaję, że za pierwszym razem, kiedy to zrobiła, nie zawracała sobie głowy myśleniem o mnie. Nawrzeszczałam na nią wtedy i od tamtej pory, zupełnie nie wiem dlaczego, zostaliśmy przyjaciółkami. Na stoperze widnieje dość pokrętna liczba trzech minut i czterdziestu siedmiu sekund. Oddaję go jej z rozczarowaniem.

– Nie, żaden rekord, więc chyba zwyczajnie byłam wkurzona.

Anita podnosi się, krzyżując ramiona na piersi, a potem przekrzywia głowę i lustruje mnie karcącym wzrokiem.

– Emi, wiesz, że tak nie można. To nienormalne. W tym tygodniu znajduję cię tu już po raz jedenasty. A jest dopiero czwartek i w dodatku po przerwie, więc...

Staję przed nią i chwytam za jeden z wcześniej przygotowanych ręczników, a później staram się chociaż minimalnie osuszyć. Tak naprawdę nie przeszkadza mi woda na moim ciele, wycieranie jest jednak dobrym pretekstem, by nie patrzeć jej w oczy. To okropne, ale już po trzech dniach zrozumiałam, że jeśli chcę okłamywać Anitę albo chociażby utrzymać przed nią cokolwiek w tajemnicy, nie mogę patrzeć jej w twarz.

Nigdy wcześniej nie miałam tego problemu z ludźmi. Zawsze byłam idealną kłamczuchą. Notorycznie okłamywałam nauczycieli, znajomych, sąsiadów czy policjantów – wszystkich. I dalej to robię. Ale by ukryć coś przed Anitą, potrzeba jazd doszkalających.

Wzruszam więc tylko ramionami i ruszam w kierunku szatni.

– Nic nie rozumiesz – rzucam przez ramię, szukając klucza do szafki w mojej torbie.

– Emi...

– Anita! – przerywam jej ostro. Szybko się jednak reflektuję. Nie mam powodu, by być na nią zła. Nie mam powodu, by ją od

siebie odpychać, a zazwyczaj tak postępuję z ludźmi. Nie mogę, nie mogę dłużej tak robić. – Przepraszam.

Kręci energicznie głową.

– Nie. To ja powinnam przeprosić. Chyba na za dużo sobie pozwalałam. Biorąc pod uwagę wszystko to, co przesz...

– Nie rozmawiajmy o tym, okej? W ogóle zapomnijmy o tym wszystkim – wpadam jej w słowo i robię głęboki wdech. – Przyśłaś z czymś ważnym?

– Nie. Chciałam tylko zapytać, czy nie poszłybyśmy na kawę? To mnie dziwi.

– Nie masz przypadkiem treningu? Treningu, który zaczyna się za jakieś dwie i pół minuty?

Spoglądam ukradkowo na zegarek na mojej komórce. Coś w jej zachowaniu, w sposobie, w jaki zagryza wargę i ciasno oplata się ramionami, każe mi sądzić, iż tak naprawdę nie chodzi o jakąś głupią kawę.

– Tomek ze mną zerwał – wypala, zanim zdąży się nad tym zastanowić.

– Jak to?!

Wzrusza ramionami i dostrzegam, że z trudem hamuje łzy. Broda zaczyna jej drżeć. Oczy zachodzą mgłą. Wygląda na jeszcze mniejszą, niż jest w rzeczywistości, ze swoimi stu sześćdziesięcioma centymetrami wzrostu i zbyt kruchą budową jak na kapitana drużyny siatkarskiej.

– Wychodziłam na trening, kiedy... dostałam od niego SMS-a. Rozumiesz to?! Nawet nie zadzwonił, nie mówiąc już o porozmawianiu ze mną. Wszystko zrobił za pomocą jednej cholernej wiadomości! Tylko na tyle sobie zasłużyłam po trzech latach. Jeden pieprzony SMS!

Kiedy poznałam Anitę i pierwszy raz zobaczyłam ją z Tomkiem, wydawało mi się, że dwoje ludzi nie może być w sobie bardziej zakochanych. Naprawdę wydawało mi się to niemożliwe. A teraz...

– To idiotyczne! – mówię.

– Wiem! – odpowiada, zanosząc się jeszcze większym szloch. Zaczyna miąć w rękach telefon na wszystkie możliwe sposoby. – Mam ochotę wziąć ten jego łeb w swoje ręce i potrząsnąć nim naprawdę, naprawdę mocno i...

Anita i Tomek byli razem przez nieco ponad trzy lata. Ona ze swoją eteryczną urodą i burzą jasnych loków i on ze swoim uśmiechem cwaniaczka. Mimo wszystko wydawał mi się dość przyjemny w obyciu. Dbał o Anitę, kochał ją. Razem chodzili do liceum, razem przyjechali na studia do Gdańska. Tym bardziej cała ta sytuacja wydaje mi się irracjonalna i niepoprawna.

Przed oczami staje mi jedno mgliste wspomnienie.

Zachowanie Tomka sprawia, że najchętniej sama zrobiłabym z nim to, co teraz Anita tak barwnie opisuje.

– ...wsadzić głębooko tam, gdzie słońce nie dochodzi! A wiesz, co jest najgorsze?! – pyta.

Nie mam zielonego pojęcia, ale wiem, że to jest to, czego teraz najbardziej potrzebuje, więc zachęcam ją, by kontynuowała.

– Że jednocześnie mam ochotę go znaleźć i błagać na kolana, żeby powiedział mi, że to tylko taki żart. Albo że jeden z jego kolegów wysłał to z jego telefonu. Pocałowalibyśmy się, on by się roześmiał, że jestem taka łatwowierna, a później czekałby nas gorący seks na tylnej kanapie tego jego rzęcha.

Unoszę brew, wciąż ociekając wodą z basenu i marząc teraz tylko o tym, by pójść pod prysznic.

– A rozmawiałaś już z nim? – mówię zamiast tego.

Kręci głową.

– Potrzebuję kawy, zanim będę w stanie to zrobić. Jeśli teraz do niego pójde, będę stać, szlochać i ryczeć tak jak teraz. Poza tym ma ostatnią przebieżkę przed jutrzejszymi zawodami, więc... Nie chcę, żeby ktoś inny przy tym był.

I chociaż jedyną rzeczą, na jaką naprawdę miałam dzisiaj ochotę, był powrót do mieszkania i zaszybie się w pokoju – czyli

ucieczka przed całym światem – nie mogę jej tak po prostu zostawić. Kładę dłoń na ramieniu przyjaciółki i lekko je poklepuję.

– Tylko wezmę prysznic.

Kiedy odchodzę, słyszę jeszcze, jak Anita pyta:

– Wiesz, że jesteś najlepsza?!

– Może – odpowiadam i szybko znikam, zanim usłyszę jak znów płacze.

Potrzebuję prysznic. Długiego. *Gorącego*. Tylko on może pomóc mi w przetrwaniu tego dnia.

Jest początek stycznia. Przeszywający, chłodny wiatr chłosta moją skórę, kiedy razem z Anitą idziemy do kawiarni. Złociste promienie słońca z trudem przedzierają się przez stalową zaporę ciężkich chmur. W ochronie przed zimnem chowam dłonie do kieszeni. Anita próbuje zająć mnie rozmową o zbliżających się zawodach i późniejszych egzaminach. Robi wszystko, byle tylko nie mówić o Tomku, co zdążyła już dobitnie mi wytłumaczyć.

Każda wzmianka o nim w przeciągu ostatniej godziny wywołała u niej kolejne łzy, więc jest jasne, że Tomek pozostaje tematem zakazanym.

Gdy się nad tym głębiej zastanawiam, dochodzę do wniosku, że kwestii zakazanych jest w naszych rozmowach więcej niż tych bezpiecznych. Każda z nas opowiedziała już swoją historię, ale obie nie chcemy wracać do ich roztrząsania. Poruszenie któregoś z tematów radioaktywnych zazwyczaj kończy się szybkim „nie” i rozpoczęciem nowego dialogu.

Zarówno dla Anity, jak i dla mnie to, co przeszłyśmy, jest tak mocno popapranymi sprawami, iż mówienie o tym zbyt często wydaje się niemożliwe.

Kiedy moja przyjaciółka mieszkała jeszcze w Krakowie, całe jej życie było kontrolowane. Po tym jak ojciec Anity odszedł, jej matka znalazła sobie nowe zajęcie: chorobliwą troskę o córkę i syna i ingerowanie w niemal każdy aspekt ich życia.

– Przestałam być dla niej córką dawno temu – powiedziała mi któregoś razu – a stałam się zwierzątkiem, maskotką. Raz nawet wpadła do mojego pokoju, kiedy był u mnie Tomek. Wyobrażasz sobie, że nie chciała wyjść?! Rozsiadła się i zaczęła z nim w najlepsze rozmawiać. Wyszła, dopiero gdy smród spalonego jedzenia zaalarmował sąsiadkę!

Anita bardzo dobitnie stwierdziła, że jej ojciec podjął najlepszą decyzję w życiu, gdy zostawił jej matkę.

Ja natomiast opowiedziałam przyjaciółce o tym, ile kosztował mnie przyjazd na studia. I wcale nie chodziło tu o pieniądze. Nawet teraz, gdy o tym myślę, ogarniają mnie dreszcze niemające nic wspólnego z zimnem panującym dookoła.

Zamawiam mulistą czarną kawę i razem z Anitą zajmujemy jedno z wolnych miejsc. Stolik przy oknie pozwala obserwować, co dzieje się na ulicy. Ludzie wracają z pracy do swoich domów, na chodnikach robi się prawdziwa zawierucha. Komuś upada telefon, ktoś inny niemal się przewraca i wpada na latarnię. Ulice pogrążają się w chaosie dnia codziennego, a ja wciąż nie mogę przyzwycząić się do tej rutyny mimo osiemnastu miesięcy spędzonych w Gdańsku. Kiedy myślałam o opuszczeniu Warszawy, nigdy, ale to nigdy tak naprawdę nie wierzyłam, że rzeczywiście uda mi się to zrobić. Całe moje życie, wszystkie te problemy wydawały mi się niemożliwe do przezwyciężenia, do zostawienia za sobą.

I rzeczywiście nie mogę do końca o nich zapomnieć, mogę od nich uciekać, ale mimo to mam przeczucie, że prędzej czy później i tak mnie dogonią. Nieważne, jak szybko będę biec czy płynąć.

– Właściwie to czemu nie poszłyśmy do Teresy? – Anita wyrywa mnie z zamyślenia.

– Uch... Musiała coś załatwić.

Jej mina się zmienia.

– Chodzi o Kacpra?

– Nie. Widziałam się z nimi w święta i naprawdę robi postępy. Na samą myśl o chłopcu czuję, jak na usta wypływa mi uśmiech.

– Moja trenerka to masochistka – jęczy Anita, rozcierając sobie kark. – Od wczoraj nie mogę dojść do siebie. Ćwiczyłyśmy jakieś trzy godziny bez przerwy, dopóki Łyczyński jej nie przegonił.

Uśmiecham się szerzej.

– Czy oni przypadkiem ze sobą nie kręcą? Po tym jak się rozwiódł...

Anita wyrzuca ręce w powietrze i otrząsa się z obrzydzeniem.

– A cholera ich tam wie, ale jeśli to prawda, współczuję mu całym sercem. Ta kobieta to potwór.

Czuję przyjemne ciepło rozlewające się wewnątrz, kiedy biorę kolejny łyk. Ta lekkość chwili jest dziwna. Przyjemna, ale też w jakiś sposób dziwnie niepokojąca. Mrużę oczy, dostrzegłszy kogoś po drugiej stronie ulicy. Mężczyzna ma na sobie ciemny płaszcz i okulary. I, o Boże?! Kto dziś jeszcze nosi takie kapelusze?

Co gorsza, mam wrażenie, że patrzy prosto na mnie. Nie, to nie wrażenie, on rzeczywiście się na mnie gapi.

Już mam poprosić Anitę, by spojrzała na nieznanego, ale przejeżdża autobus, a tajemniczy gość znika.

– Emilia, wszystko w porządku?

Opadam na oparcie swojego fotela i wracam do niej wzrokiem.

– T-tak. Chyba tak – odpowiadam, kiedy gardło rozluźnia mi się do tego stopnia, że znów jestem w stanie mówić.

Ale wcale nie jest w porządku. To już... który raz w tym tygodniu? Trzeci. Może mam po prostu paranoję. Może jestem przewrażliwiona, ale... nie mogę pozbyć się wrażenia, że to wcale nie są moje fanaberie.

Ktoś mnie obserwuje.

– *Nie zamkniesz mnie tutaj! Słyszysz, co do ciebie mówię?! Nie zamkniesz mnie! Emilia! Emilia!*

Emilia!

– Emilia?!

Powracam do rzeczywistości, czując krople zimnego potu spływające po moim czole.

– Może powinniśmy już iść? – Anita patrzy na mnie z zaniepokojeniem.

– Nie. Ja... Ja po prostu muszę się przejść. Nie obrazisz się...

– Wstaję i uderzam nogą w stolik. Mocno chwytam swoją torbę.

– Nie obrazisz się, jeśli cię zostawię, prawda?

– Nie, pewnie, że nie, ale powiedz, co się stało, czy...

– Do zobaczenia jutro – rzucam na odchodne i wybiegam na zewnątrz.

Z lubością przyjmuję chłód panujący na dworze. Czuję, jak mój roztrzęsiony oddech się uspokaja, gdy jestem już kilka ulic dalej. Mocniej nasuwam czapkę na uszy, pragnąc jedynie uciec jak najdalej stąd. Znowu znaleźć się w miejscu, w którym *on* nie będzie mógł mnie dosięgnąć.

Potrzebuję wody. *Gorącej wody* – myślę panicznie, przepychając się przez tłum ludzi. Raz po raz na kogoś wpadam, mamroczę pod nosem „przepraszam”, ale ani na chwilę się nie zatrzymuję. Dochodzę do skrzyżowania i biegnę dalej.

W sumie nie wiem, co dociera do mnie jako pierwsze. Ten krzyk, pisk opon na śliskiej nawierzchni, klakson samochodu, czy może ten ciężar czyjegoś ciała, które przyciska mnie do zimnego krawężnika.

– Patrz, jak leziesz, idiotko!

Spoglądam na ludzi po drugiej stronie przejścia, którzy obserwują mnie z przerażeniem. Na kierowcę, który rusza z impetem i znika po drugiej stronie ulicy. Albo mi się wydaje, albo zauważam znowu tego samego gościa w czerni. Jakiś mężczyzna odsuwa się ode mnie i oferuje pomoc.

– Nic ci nie jest? – pyta.

– Nie – rzucam. – Dziękuję.

Nie zawracam sobie głowy mówieniem niczego więcej, zostawiam tych ludzi i człowieka, który mnie uratował. Po chwili znów gnam co sił w nogach, modląc się w duchu, żebym dotarła do mieszkania w jednym kawałku.

Słyszysz, co do ciebie mówię?!

Spieprzaj! – warczę w myślach.

Emilia!

Spieprzaj! – błagam.

Woda parzy. Woda oczyszcza. Woda ratuje mnie przed utonięciem. Klęczę na podłodze brodzika, odgarniając włosy z twarzy, i nagle uderza we mnie to wszystko. Jego głos, jego dotyk, palące spojrzenie jego oczu. Jest zupełnie tak, jakby stał tu obok mnie, chociaż tak naprawdę wcale go tu nie ma. Nie może go tu być. Nie... To tylko moja popieprzona wyobraźnia podsuwa mi chore obrazy, od nowa odtwarzając tamte słowa.

Miałam nadzieję, że się od tego uwolniłam. Naprawdę wierzyłam w to, że zdołałam uciec od całego tego bagna.

Kiedy moja skóra jest już dostatecznie czerwona i sparzona, a cała łazienka tonie w parze, okrywam się ręcznikiem i staram opanować drżenie ramion. Jednym ruchem przecieram lustro i przyglądam się swojemu odbiciu. Mam zaczerwienioną twarz oraz oczy błyszczące od łez i złości – oczy takie same jak mojej matki, w kolorze płynnej czekolady. Włosy mam posklejane w strąki i nawet nie zawracam sobie głowy tym, by je rozczesać.

Nastawiam wodę na herbatę i zasłaniam okna. Muszę pozbyć się tego wrażenia, że ktoś ciągle mnie obserwuje.

Patrzę na unoszącą się znad kubka parę i nawet nie wiem, kiedy moje powieki robią się tak cholernie ciężkie. I mimo że początkowo staram się temu oprzeć, po chwili ogarnia mnie sen.

Jeszcze raz. Jeszcze raz. Jeszcze raz. Wiem, że będę na to patrzeć, aż do przebudzenia. Nic innego się nie wydarzy. Nie będzie żadnego

dramatycznego zwrotu akcji ani krzyków. Nie będzie płaczu. Nie będzie łez. Bez dźwięków. Bez zmiany. Jednostajnie, od początku do końca. Ręka się uniesie, a później opadnie. Poczuję ból i to wszystko.

Tyle że to trwa bez końca.

I nie wiem, czy to możliwe. Ale jest chyba gorzej we śnie niż na jawie. Bo tutaj nie mam nawet władzy nad swoim ciałem. Nie mogę spróbować uciec. Mogę jedynie czekać, aż wszystko się wreszcie skończy.

Budzi mnie dzwonek telefonu. Zaczynam go szukać po omacku, nie otwierając nawet oczu. Wciąż dzwoni, a ja staram się go wyłączyć, przeklinając pod nosem. Telefon jednak milczy. Wyświetlacz się nie świeci, aparat nie wibruje.

– Co do...?

Znów ten chorobliwy dźwięk.

– Cholera jasna!

Łapię w pośpiechu za szlafrok i staram się nim okryć jak najciaśniej. Kiedy podbiegam do drzwi i otwieram, nie spuszczać łańcucha, uderza mnie jasność wpadająca przez okno na klatkę schodowej.

– Tak? – zwracam się do starszego mężczyzny w puchowej kurtce. – W czym mogę pomóc?

– Pani Emilia Porka?

– Tak, ale o co chodzi? – dopytuję.

– Mam przesyłkę dla pani. Proszę o podpis w tym miejscu.

Wyciąga w moją stronę kartkę z zaznaczonym okienkiem, w którym mam się podpisać. Wciska mi do ręki długopis.

– Nic nie rozumiem. Chyba zaszła jakaś straszna pomyłka, ja niczego nie zamawiałam.

Mężczyzna nie wygląda na przejętego. Teraz dopiero dociera do mnie, że to kurier. Na kurtce ma wyszyte logo firmy. Zwalniam więc niechętnie blokadę, chcąc oddać papiery.

– Wciąż nie rozumiem, o co...

– Ja tylko dostarczam przesyłki, proszę pani.

Kiedy podaje mi bukiet róż, nogi lekko się pode mną uginają.

– Ale ja nie mam jak za nie zapłacić – mówię w panice, bo musi ich być około trzydziestu. Są tak piękne, że pewnie jedna z nich kosztuje już fortunę.

Kurier naciąga czapkę na uszy i lekko unosi daszek, jakby chciał mi dodać otuchy.

– Kwiaty są opłacone. Życzę miłego dnia.

Zanim zdążę za nim zawołać, słyszę jego szybkie kroki na schodach.

– Do widzenia – mruczę, wracając do środka.

Róże mają urzekającą, głęboką barwę drogiego czerwonego wina. Pachną tak, że przez chwilę zastanawiam się, czy to nie jest zapach perfum. Ale nie. Najgorsze jest to, że nie mam pojęcia, skąd są, nie mam pojęcia, kto mógłby je do mnie przysłać. A oczywiście ten *ktos* nie pokusił się nawet o głupi bilecik.

Przez chwilę mam ochotę pobiec za kurierem i poprosić, żeby zabrał te kwiaty i odwiózł je tam, skąd je przywiózł. W następnej jednak interesuje mnie już tylko adres, dzięki któremu dowiedziałabym się, skąd wysłano do mnie bukiet. Dwa głębokie oddechy później ważne jest już tylko jedno:

– Nie mam cholernego wazonu.

Cudownie – myślę. Kiedy rozlega się dźwięk dzwonka, rzucam się do drzwi. Tyle że tym razem... dzwoni mój zakichany telefon.

– Łuhu! – Anita wyraża zachwyt w typowy dla siebie sposób. Jednocześnie zaciekawiona spogląda na bukiet, opiera dłonie na biodrach i przytykając jedną powiekę, rzuca mi krótkie spojrzenie.

– No co? – pytam skonsternowana.

– Nic. Tylko szczerze to sądziłam, że wyolbrzymiasz. Ile ich jest dokładnie?

Wytrzeszczam na nią oczy.

– Nie liczyłam ich dokładnie. Nie chcę ich. – Anita przekrzywia głowę. Zaplatam ramiona na piersi. – Nie! Nie zatrzymam ich. Nawet nie wiem, od kogo są!

– Co?

– A jeśli to jakiś psychol?

Wzrusza ramionami.

– Za dużo ich jak na psychola. Jak na mój gust to jakiś cichy wielbiciel.

– Teraz ty przesadzasz. Nie wierzę, że właśnie to powiedziałaś. – Opadam na kanapę, nie mogąc przestać obgryzać paznokci. Kilka róż się przekrzywiło i zaczęło wypadać z wiadra.

– Nie mam cichego wielbiciela.

– Kochana, z nimi zazwyczaj jest tak, że się nie wie, że się ich ma. Są cisi. Rozumiesz ideę?

– Nie mam – powtarzam kategorycznie, starając się udusić ją wzrokiem.

– Okej! – Unosi ramiona w poddańczym geście. – To może to... O! A może to twój szef? Mówiłaś, że w ostatnim tygodniu cię pochwalił? Pracujesz już jakiś czas w tej knajpie. Może to w ramach premii?

– Anita, ten bukiet jest za duży!

– Wcale nie. Jak na mój gust jest w sam raz.

Prawda o najlepszych przyjaciółkach jest taka: możecie się razem śmiać ze wszystkiego, ale najlepszy ubaw każda z was ma z siebie nawzajem. Koniec.

Tyle że to w moim odczuciu jest mało zabawne. Myślę o tamtym facecie w ciemnym płaszczu i kapeluszu, jaki nosiłby raczej ktoś pokroju mojego dziadka w czasach swojej młodości niż człowiek żyjący w dwudziestym pierwszym wieku.

– To mnie doprowadza do obłądu. Nie mogę ich zatrzymać, muszę je oddać.

– Oczywiście, że możesz, są przecież dla ciebie.

– To jakaś cholerna pomyłka.

– Mów, co chcesz, ale nawet gdybyś chciała, jak zamierzasz je teraz oddać?

Chwytam laptopa i wstukuję do wyszukiwarki nazwę firmy kurierskiej. Anita przygląda mi się uważnie, kiedy wybieram numer do centrali.

– Dzień dobry – mówię po tym, jak jakaś młoda kobieta wyjaśnia mi, gdzie się dodzwoniłam. – Chciałabym się dowiedzieć, kto nadał do mnie przesyłkę. – Po podaniu kobiecie adresu i moich danych muszę swoje odczekać. Wreszcie coś trzeszczy w słuchawce.

– Bardzo mi przykro – zaczyna konsultantka. – Ale nie mam w bazie danych żadnych informacji o tym, by została do pani zaadresowana jakakolwiek przesyłka w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Blednę na te słowa.

– Jest pani pewna? – pytam.

– Zdecydowanie. Może pomyliła pani firmę?

– Nie, jestem pewna, że nie pomyliłam. Dziękuję.

Kiedy się rozłączam, nie wiem już, czy ten dzień mógł zacząć się w bardziej pokręcony sposób. Widziałam listę... Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądała, i dopiero z opóźnieniem dociera do mnie, że kartka z podpisami była czysta, jeśli nie liczyć numeru mojej przesyłki.

Anita kładzie dłoń na moim ramieniu i pełnym spokojem głosem doradza mi, bym odpuściła.

– Daruj sobie. Jeśli rzeczywiście to takie ważne, sprawa sama się wyjaśni. Drażąc to, tylko dodatkowo się nakręcisz.

Potrząsam głową, mając ochotę wyrzucić te pieprzone kwiaty przez okno. W głowie wciąż słyszę jego głos. I wiem, że jest jeszcze jedna osoba, która może być w to zamieszana.

Emilia!

– Właściwie – Anita podnosi się energicznie – to mam dla ciebie dzisiaj propozycję nie do odrzucenia.

– Wszystkie twoje propozycje takie są – odpowiadam, starając się odgonić od siebie czarne myśli.

– Fakt. Ale ta przypadnie ci do gustu. Jest piątek, a ostatnio dużo się wydarzyło, więc... Zabieram cię dzisiaj do klubu.

I chociaż to ostatnia rzecz, o jakiej teraz myślę, ostatnia rzecz, na jaką mam teraz ochotę wbrew przypuszczeniom Anity, zgadzam się. Ponieważ jeśli mam wykonać *ten* telefon, potrzebuję chwili oderwania od rzeczywistości.

Spoglądam na bukiet. Mam szczerą nadzieję, że kwiaty zwiędną jeszcze dziś.

Do szpiku kości
Copyright © Kinga Wyskiel
Copyright © Wydawnictwo Inanna
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover photo by Strelciuc/Adobe Stock
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2020 r.

druk ISBN 978-83-7995-498-8
epub ISBN 978-83-7995-499-5
mobi ISBN 978-83-7995-500-8

Redaktor prowadząca: Ewelina Nawara
Redakcja: Agata Polte
Korekta: Małgorzata Tarnowska
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Projekt okładki: Aleksandra Bartczak
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@inanna.pl
www.inanna.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



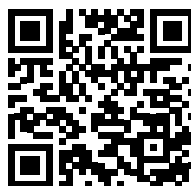
JOY HERMIA STONE

Joy jest przeciętną dziewczyną. Ma zwyczajną pracę, kilku w miarę normalnych znajomych i nie wyróżnia się niczym poza tym, że mieszka z mężczyzną idealnym, który zawsze spełnia jej marzenia. Prawdopodobnie dlatego, że jest wymyślony... No, może nie do końca. Oryginał istnieje. To wokalista znanego zespołu Sundance, otoczony tłumem fanek, zarabiający miliony i odnoszący sukcesy playboy.

W życiu jednak różnie bywa. Być może ta dwójka zetknie się w świecie jak najbardziej rzeczywistym.

Joy, będąc w trudnej sytuacji życiowej, zatrudnia się u managera Sundance. Prawdziwe kłopoty zaczną się, gdy spotyka swojego idealnego faceta i pozna go bliżej. Dowie się wiele nie tylko o swoich uczuciach ale też o prawach rządzących rynkiem muzycznym i o panujących w nim stosunkach międzyludzkich. Wkrótce Joy, jej znajomi i wszyscy członkowie zespołu Sundance przekonają się, co się stanie, gdy spełnią się czyjeś marzenia.

To nie jest prosta romantyczna opowieść o namiętnej miłości nieśmiałej dziewczyny i gwiazdy rocka. To nie jest kolejna odsłona bajki o kopciuszku. Ta opowieść może zaskoczyć.





SIŁA JEJ PIĘKNA ANTOLOGIA

AUTORKI:

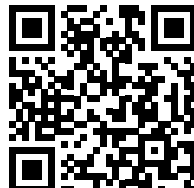
AGNIESZKA OPOLSKA
AGNIESZKA SUDOMIR
AGNIESZKA ZAKRZEWSKA
ALICJA WŁAZŁO
ANNA KARNICKA
DARIA SKIBA
MAŁGORZATA FAŁKOWSKA
MARIA ZDYBSKA

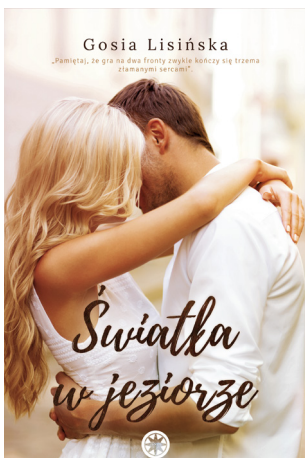
WYJĄTKOWE HISTORIE DLA WSZYSTKICH WYJĄTKOWYCH KOBIET

Osiem utalentowanych polskich autorek i jedno niełatwe zadanie. Odnalezienie siły i piękna, które tkwią w każdej z nas. Opowiadania wchodzące w skład antologii są tak różnorodne jak kobiety, które je napisały. Autorki opowiadają o zwycięstwie w zmaganiach z przeciwnościami losu i osobistymi dramatami.

Czy twoja historia jest podobna? Czy teraz uwierzysz w siebie? Czy dotrzesz do ukrytej w tobie siły? Każda z nas jest inna, piękna na swój wyjątkowy sposób!

OD KOBIET DLA KOBIET
ODNAJDŹMY W SOBIE SIŁĘ I PIĘKNO!





ŚWIATŁA W JEZIORZE GOSIA LISIŃSKA

Gdy po dwóch latach kompletnej uczuciowej suszy, dopadnie cię kłęska urodzaju, możesz mieć problem z wyborem.

Karolina jest zabawną i błyskotliwą dziewczyną, od roku zakochaną bez wzajemności w koleźce z pracy. I oto któregoś dnia spotyka go nad jeziorem, a wszystko się zmienia. Że jednak świat bywa złośliwy, na drodze Karoliny staje nie tylko Kuba, ale i pewien nieprawdopodobnie seksowny Włoch...

Przezabawne perypetie miłosne i rodzinne głównej bohaterki są tematem pierwszej obyczajowej powieści Gosi Lisińskiej z serii Miłość w Tychach.

„Światła w jeziorze” to idealne połączenie doskonałego humoru oraz seksownego romansu. Będzie gorąco, zmysłowo i zabawnie. Historia Karoliny pochłonie Was w mgnieniu oka i nie pozwoli odłożyć książki, dopóki nie poznacie zakończenia. To życiowa, ale posypana odrobiną magii powieść, która umili długie zimowe wieczory.

Meg Adams, blogerka *Niegrzeczne Dziewczyny Recenzują*





PIKANTNIE PO WŁOSKU GOSIA LISIŃSKA

Czy szalony romans ma szansę przerodzić się w coś trwałego? Zwłaszcza szalony romans z własnym szefem?

Życie Magdy nigdy nie było poukładane czy zwyczajne, a związek z Roberto bynajmniej tego nie zmienia. Przynosi za to mnóstwo namiętności, ale i pytań, których dziewczyna dotychczas sobie nie zadawała.

Jak potoczą się jej losy? Jakie ostatecznie podejście decyduje?

Tego dowiedzie się z tej zabawnej i bardzo erotycznej powieści.

W tej książce jest pikantnie między bohaterami na kilka różnych sposobów – pikantne kłótnie, pikantny seks, a przede wszystkim pikantny uśmiech na twarzy czytelnika.

Grażyna Wróbel – Czytaninka

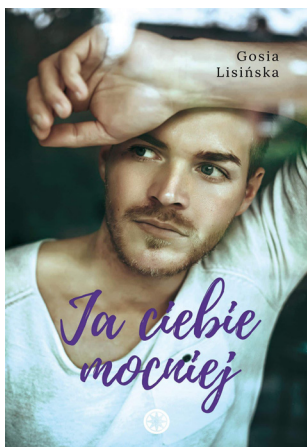
Gosia Lisińska ma talent do tworzenia lekkich, pozytywnych i przy tym niezwykle zabawnych historii. Koniecznie musicie poznać Magdę i jej pikantne włoskie perypetie.

Kasia Olchowy – Kulturantki.pl

Zakręcona i słiczna Polka, plus ponętny i seksowny Włoch — duet idealny?! A może mieszanka wybuchowa? Czeka na Was dużo śmiechu i dużo gorących emocji! Druga część "Światel w jeziorze" jest, jak sam tytuł wskazuje, bardziej pikantna, bardziej niegrzeczna, ale wciąż tak samo zabawna!

Agnieszka Rybska – Blonderka.pl





JA CIEBIE MOCNIEJ MAŁGORZATA LISIŃSKA

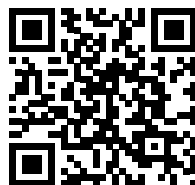
Kiedy wydaje ci się, że masz wszystko i naraz tracisz grunt pod stopami...

Jasiek zdobywa miłość swego życia, ale czy zdoła ją utrzymać? Czy potrafi oprzeć się pokusom? I czy miłość wystarczy, by odbudować to, co wydawało się utracone?

Wróć do Tychów, by poznać losy brata Karoliny, przebojowej bohaterki Świąteł w jeziorze, i kolejny raz zakochać się w tym mieście.

Popularne przysłowie mówi, że milczenie jest złotem. Jednak w małżeństwie Janka i Anki, borykających się z nową, nietatwą codziennością, milczenie doprowadza do katastrofy. „Ja Ciebie Mocniej” Gosi Lisińskiej w piękny sposób pokazuje, jak ważnym elementem każdego związku jest szczerą rozmowa. To mocno dająca do myślenia historia nietatwej miłości, po przeczytaniu której, zaczynamy zastanawiać się, co w naszym życiu powinno stanowić największą wartość: kariera, pieniądze, małżeństwo, dzieci? Gorąco polecam.

Izabela Grabda, autorka *Przypadek Lidki*





ZASKOCZ MNIE
MAŁGORZATA FALKOWSKA
DARIA SKIBA

ONA ma pasję, za którą skoczyłaby w ogień.
Ma marzenia.
ON wymarzoną pracę i życie, które wydaje się
innym niemal idealne.

Antek i Jagoda są niczym ogień i woda.

Ona, bez planów na przyszłość, żyjąca „tu i teraz”.

On, poukładany, planujący przyszłość i zakochany w swojej dziewczynie.

Czy tych dwoje może się wzajemnie zrozumieć?

Parkour jest ich odpowiedzią.

Uparta nauczycielka i uczeń, który nie chce się poddać.

Wspólne ćwiczenia pokazują obojgu, że mimo wielu różnic, są do siebie bardziej podobni, niż mogli się spodziewać.

Co się stanie, gdy światy i poglądy tych dwojga się zderzą?





SPEŁNIACZE MAŁGORZATA FALKOWSKA

Spełniając marzenia innych, spełniasz się i Ty!

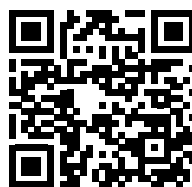
To miał być zwyczajny projekt na studia.

Dominika, Maciej i Julian mieli pomysł, by spełniać marzenia. Zaczęło się od listów dzieciaków z pobliskiego Oratorium, jednak dzięki determinacji trójki przyjaciół i z pomocą profesora Kellera, swoją działalność rozpoczęła Fundacja Spełniacze.

Dwanaście miesięcy w roku – dwanaście marzeń do spełnienia.

Małgorzata Falkowska zaprasza czytelników w niezwykłą podróż pełną dobra, miłości i wzajemnej tolerancji. Dwanaście wyjątkowych listów, dwanaście wyjątkowych historii, wielu naprawdę życzliwych ludzi. Poznaj Fundację Spełniacze, jej założycieli i dzieciaki, którym pomogli.

Niektóre marzenia spełniają się same, innym trzeba trochę pomóc.





TYLKO SEKS MIRA GROSS

Błażej jest zwyczajnym studentem, który ledwo wiąże koniec z końcem. Gdy kumpel wprowadza go w szczegóły jego dostatniego życia, dla Błażeja kończy się pewien etap życia.

Lilianna to rozkapryszona i znudzona żona biznesmena. Jej małżeństwo nie należy do typowych, więc gdy na horyzoncie pojawia się Błażej, kobieta proponuje mu układ.

Jednak życie to nie bajka i Lilianna będzie musiała ponieść konsekwencje własnych wyborów. Czy pociągnie Błażeja za sobą na dno?

To, co miało być zwykłą zabawą, przeradza się w coś, czego żadne z nich nie mogło przewidzieć...

„Tylko seks” to tak naprawdę nie tylko seks. To powieść pełna emocji, pożądania i prawdziwych uczuć. Jestem przekonana, że miłośniczki gorących romansów na pewno znajdą w tej historii coś dla siebie. Serdecznie polecam!

K.N. Haner, autorka bestsellerowych powieści dla kobiet

